

**XVII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej  
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2019  
Alicja Węclawiak – kategoria dorośli – proza – wyróżnienie**

**Godło: INDYGO**

**WODA**

Człowiek zmienia się co siedem lat. Tyle czasu potrzeba na odnowę wszystkich komórek. Co siedem lat zmienia się więc wszystko – nie ma już tej samej co wcześniej skóry, inne są włosy, o paznokciach nie wspominając. Te rosną jeszcze szybciej. Podobno wnętrze człowieka również ulega zmianie. Tkanki, z których składają się narządy już także są inne. Ma więc człowiek co siedem lat nowe nerki i wątrobę, nowe jelita. Nowe serce i nowy mózg. A czy skoro ma nowe serce i nowy mózg, to ma też nową duszę?

Ci, którzy wierzą w istnienie duszy, zwykle wskazują na jej miejsce zamieszkania właśnie serce albo głowę, umysł. Tam się ona znajduje, stamtąd kieruje człowiekiem. Stamtąd go uczłowiecza. Według starożytnych filozofów, pozostaje ona wieczna i niezmienna. Ale czy antyczni mędrcy wiedzieli o odnowie komórek i tkanek? Niektórzy chyba coś przeczuwali. Najwięcej ci rozkochani w jednym z żywiołów – wodzie. Sugerowali, że nic dwa razy się nie zdarza i że wszystko jest zmianą. Woleli strumyki, potoki, rzeki od mórz, jezior i kałuż, w których stała martwa woda. Być może zbiorniki nie pasowały im do teorii.

Codziennosc wciąga człowieka i zdaje się nie zmieniać, mimo upływu miesięcy, lat, dekad. Czeka się na przełom, na jakiś wstrząs, magiczne wydarzenie, które wyznaczy cesurę pomiędzy dwiema epokami. Czeka się na moment, po którym nic już nie będzie takie samo. Moment, który wybije się na czoło przy grudniowym podsumowaniu roku. Na filmową sytuację, w której na przykład kogoś odwiedza niespodziewanie ktoś sprzed lat. Ktoś, o kim nie wiedziało się, czy jeszcze żyje, czy pamięta. W istnienie którego zaczęło się wątpić. Duch przeszłości. Albo z drugiej strony – czeka się na odkrycie miejsca lub najczęściej osoby, która zmieni teraźniejszość w przyszłość. Która wywróci na nice codzienność. Od spotkania której nastanie nowa, lepsza era.

Tak właśnie czekała Noelle. A czekać zaczęła jeszcze za nim w ogóle stała się sobą. Poddając się powiewom wiatrom, nurtom rzeki, okolicznościom losu, kierowała się w tę stronę, w której od niej oczekiwano. Jedynym wyrazem buntu były ciężkie wojskowe buty i czarne ubrania, w których przechodziła całe gimnazjum. A później kolorowe, hipisowskie sukienki, koralki, rzemyki, brak stanika. To już w liceum. I na studiach. I po nich. Poza tym złudzeniem oryginalności, który dawała sobie i otoczeniu, stała grzecznie w szeregu, nie wychylając się. W ciężkich buciorach lub w trampkach, w podartych jeansach lub kolorowej spódnicy. Ale zawsze w szeregu. I tego właśnie bojąc się najbardziej – stania w szeregu.

Noelle urodziła się jako pierwsze dziecko swoich rodziców. Nie byli już bardzo młodzi (jak na tamte czasy!). Była chciana, wyczekiwana. Wszystko dobrze się zapowiadało. Rok później urodził się jej brat – mała Noelle miała towarzystwo, miała się z kim bawić i przy kim rozwijać. A rodzice mieli jednocześnie więcej trosk i więcej spokoju.

Byli normalną rodziną. Mieszkali na poddaszu w domku z ogrodem. Było ciasno, ale przytulnie. Mieli małego, czarnego, kudłatego pieska. Mieli stół, a właściwie ławę, fotele, sofy, szafki pełne ukrytych smakołyków. Telewizor. Miłą małą kuchnię, w której przygotowywano posiłki, w której gotowano herbatę. Życie płynęło jednostajnie, od

niedzieli do niedzieli, kiedy nic nie trzeba było robić. Można było posiedzieć przed telewizorem albo w ogrodzie, zaprosić ciotkę na kawę. Wszystko było dobrze.

Noelle zaczęła dorastać i wtedy odkryła ciężką muzykę, czarne ubrania i smutne książki. Zaczęła chodzić do szkoły w rozciągniętych swetrach, z wojskowym plecakiem. W jej rozumieniu był to pewnego rodzaju bunt. Nie była jak wszyscy. Ubierając się w taki sposób, od razu stała się jedną z tych dziwniejszych w klasie. Z drugiej strony, jej ojciec także był miłośnikiem ciężkiej muzyki. Cieszył się, że córka idzie w jego ślady. Noelle przeżywała więc swój kontrolowany bunt. I wtedy właśnie, mając lat naście, będąc już nie dziewczynką, a jeszcze nie kobietą poznała chłopaka. Zaczęli się spotykać, zostali parą. Bo przecież niegrzeczne dziewczynki chodzą w ciężkich butach, popalają papierosy i zamiast się uczyć, włóczą się z chłopakami.

Ale tu było inaczej. Tego samego chłopaka Noelle miała w gimnazjum, w liceum, na studiach, po studiach. Był tylko o dwa lata starszy od niej. Zagubiony chłopak z nieszczęśliwej rodziny. W której nie było psa, ogrodu, telewizora i ciotki w niedzielę na kawie. Nie było miłej kuchni ani wspólnej herbaty. Przyłgnął do Noelle, grzał się w jej ciepłe i szukał siebie. Miał krótkie włosy, a później już długie, bo jej podobali się chłopacy z długimi włosami. Jakiego innego mogłaby mieć dziewczyna z wojskowym plecakiem? Był bardzo chudy, później zanadto przytył. Chudł i tył przez cały czas ich znajomości, jak gdyby poszukując siebie. Albo formy, w której będzie do przyjęcia: dla siebie, dla otoczenia. I dla Noelle.

A ona skończyła gimnazjum i poszła do liceum, tego najbliższego miejsca zamieszkania. Po jakimś czasie zamieniła ciężkie czarne swetry na lekkie kwieciste sukienki. Zmyła ciemny makijaż i przestała używać jakichkolwiek kosmetyków poza mydłem, szamponem i dezodorantem. Jej krótkie marchewkowe włosy wypłówiały, pokrywając się naturalną rdzą, rude refleksy grały teraz w słońcu na jej coraz dłuższych i dłuższych kosmykach. Ale nadal miała swojego chłopaka, któryś już rok. Wszyscy się dziwili, że tak można. Niektórzy zazdrościli, inni stukali się w głowę. Kim on był dla niej, nikt nie wiedział. Nie wiedziała ona sama. Po prostu był. Pojawił się, nie chciał zniknąć. Dzwonił, przyjeżdżał, zapraszał. Było dosyć fajnie, a później już tak zostało, bo skoro zaczął być, to czy warto to zmieniać?

Noelle skończyła liceum. Napisała maturę – drogą eliminacji wybrała przedmioty, stanęło na tych humanistycznych. Drogą eliminacji złożyła też papiery na studia. Nie miała pomysłu, co dalej, ale ktoś ze znajomych tak wybrał, więc może jest to jakiś trop. A później było lato, bardzo długie lato po maturze. Nadmiar wolnego czasu bardzo Noelle nie służył. Chodziła po łąkach, spotykała się z chłopakiem. I z przyjaciółką. Jeździła rowerem. Trochę czytała, dużo rozmyślała. Bała się przyszłości, nie chciała jej. Zapisywała swoje niepokoje w kolorowym zeszytce. Piła herbatę. Płakała, krzyczała, robiła sceny. Swojemu chłopakowi. Może go już nie chciała, ale nie umiała się go pozbyć inaczej jak nie wprost. Ale to nie działało. On słuchał, patrzył, martwił się, pocieszał, przytulał, podnosił z podłogi. Nadal był. Później popadła więc w marazm, który odtąd zawsze już jej towarzyszył. Przesiedziała lato jak katatoniczka, niewiele z niego pamiętając, poza gorzkim smakiem rozczarowania. Nie wiedziała tylko, czym jest rozczarowana.

A później była jesień, złota polska jesień. Słońce świeciło na żółto i liście były żółte. A Noelle bardzo lubiła żółty kolor. Zbierała kasztany. Szurała trampkami w liściach. I zaczęła studia. Kupiła poważne, dorosłe zeszyty, w większym formacie. Wojskowy plecak zamieniła na torbę. Wykłady jej się podobały, zanurzały ją głęboko w rzeczywistości, jej umysł był stymulowany, dużo myślała i dużo myśli zapisywała w kolorowym zeszytce. Ale z czasem nowe bodźce przestały działać. Noelle męczyły długie dni na uczelni, pytania rodziców o to, co niby można robić po takich studiach. Coraz mniej czasu dla siebie. Czasu, który musiała przecież rozdzielać pomiędzy dom, studia, koleżanki, rodziców i chłopaka.

Gdziekolwiek nie poszła, tam towarzyszyła jej smuga cienia. Nawet w najbardziej słoneczne, żółte dni.

Wreszcie nastąpiło nowe. Noelle zamieszkała ze swoim chłopakiem w mieszkaniu po jej babci. Przeszawili meble, pochowali obrazki z wizerunkami świętych, kupili na raty pralkę. Matka pytała, czy na pewno, bo przecież gdyby nie wyszło, to co będzie z pralką, kto weźmie pralkę? A ojciec nie pytał, pomagał w remoncie. Wyszło nieźle. Noelle miała swój ką, swoje miejsce, blisko uczelni. Nie było jej już w domu rodzinnym. Małe, przytulne poddasze było teraz mniej ciasne. Wszystko dobrze się ułożyło. Noelle, taka jeszcze młoda przecież, już sobie poukładała życie. Ma studia, mieszkanie, stałego chłopaka, z którym żyje, z którym wspólnie jada śniadania i kolacje. Miała dorosłe życie.

W któreś szare, listopadowe popołudnie, popijając herbatę na stołówce, czekając na kolejne tego dnia wykłady, Noelle źle się poczuła. Zbladła, oblała się potem, musiała wyjść do toalety. Wieczorem, już w domu, nadal nie czuła się do końca sobą. Poszła do apteki i sprawdzała wielokrotnie, jaka może być przyczyna. Za każdym razem wynik był jednoznaczny. Noelle była w ciąży. Jej świat zadrżał w posadach. Płakała długo tego wieczora, płakała w nocy, rankiem i cały kolejny dzień. Nie chciała tego dziecka. Choć wszystko wydawało się poukładane, choć był chłopak, który dziecko chciał, było mieszkanie, pralka, kot i prawie skończone studia, to Noelle jeszcze nie wiedziała kim jest, jeszcze nie zdążyła stać się sobą, a już miała być matką.

Im bardziej pęczniał brzuch Noelle, tym bardziej w jej głowie pęczniała myśl, że dziecko jest jednak rozwiązaniem. Że wciągnie ją, zaangażuje. Że będzie miała coś swojego. Była gotowa. I dziecko się urodziło. Dziewczynka. Noelle karmiła ją i przewijała, zabierała w wózku na spacer, kładła spać i budziła. Radziła sobie doskonale, a przy tym rozkwitała. Młoda mama, piękna blada dziewczyna, piegowata, ruda. Wciąż szczupła i drobna, dziecko nie wysało z niej urody. Młody tata też się cieszył. Wreszcie miał rodzinę. Wreszcie nie musiał szukać ciepła po obcych.

Dziecko rosło i stawało się coraz bardziej absorbujące. Także problemy codzienne urastały do rangi dramatów, o które należało wszczynać wojny. Wieczorami, gdy dziecko już spało, Noelle i jej chłopak kłócili się. Nie zgadzały się ich wizje co do tego, jak jest i jak być powinno. Noelle, absolutnie pochłonięta dzieckiem, nie miała innej perspektywy. Miała jedyną słuszną. Chłopak już był, już był od dawna. Dziecko było jeszcze świeże, jeszcze ciepłe. Wymagało opieki. I bezkresu czasu. Nawet tego wieczornego, tylko dla niej. Nawet nocnego, tylko dla nich. Dziecko było opcją tożsamości Noelle. Teraz była matką.

Przez rok Noelle opiekowała się dzieckiem. Po roku zechciała kontynuować studia. Bo studia się kontynuują. Zająć nie było wiele, Noelle raz, dwa, czasem trzy razy w tygodniu wychodziła na wykłady. Dziecko zostawało z babcią, ciocią, kimś, kto akurat mógł i chciał się nim zająć. Noelle wracała z uczelni szybko, nie rozmawiając z nikim. Była matką, miała dorosłe życie, już nie studenckie. To nic, że studenckiego w zasadzie nigdy nie miała. Są ważniejsze sprawy. Trzeba być w domu, pracować, gotować, sprzątać, karmić dziecko, karmić kota, psa, królika i rybki, karmić chłopaka, kiedy wraca z pracy. W końcu przynosi pieniądze.

Noelle skończyła studia, zdała egzaminy. Nie zrobiła dyplomu, nie napisała i nie obroniła pracy magisterskiej. Ale czy to ważne? Zakończył się etap. Dziecko już chodziło, mówiło, śmiało się, płakało, robiło sceny. Już nawet jeździło na rowerku. Noelle spędzała z nim całe dni. Dziecko poszło do przedszkola, a Noelle nadal spędzała z nim całe dni. Nawet gdy była sama w domu. Czas mijał wtedy powoli i szybko zarazem. Noelle siedziała wtedy w cieniu, czekając aż upłyną kolejne godziny, których nie umiała wypełnić. Odbierała dziecko z przedszkola i znów była sobą. Matką. Partnerką, opiekunką. Westalką.

Coś musiało się zadziać, zmienić. Pozwolić wejść w nowy etap. Noelle od dawna nosiła na palcu swojej bladej, spracowanej dłoni pierścionek. Jeszcze z czasów liceum. A przecież jest już po studiach. Może warto zamienić pierścionek na obrączkę. Może to doda życiu smaku, pomoże inaczej uporządkować rzeczywistość. Wyjdzie za mąż za swojego chłopaka, są już parą całą dekadę. To będzie ładna celebracja takiej rocznicy. Wyjdzie za mąż za ojca swojego dziecka. Za swojego współlokatora. Teraz będą mężem i żoną. Noelle doskonale sobie radzi w życiu. Skończyła studia, wychodzi za mąż, od lat ten sam chłopak, mają dziecko, takie piękne, mądre dziecko. Wszystko dobrze się układa.

Noelle kręci lokówką rude pukle, maluje paznokcie, wpina we włosy kwiat. Ubiera białą sukienkę i jedzie do urzędu. Jest gorące lato, lipcowe popołudnie. Noelle jest już nie tylko matką, ale i żoną. Kiedyś to nie byłoby osiągnięcie. Ale teraz to rzadkość. Dziewczyny w tym wieku jeszcze nie wiedzą, czego chcą, zmieniają chłopaków jak rękawiczki, wyjeżdżają, wracają, szukają siebie. Wydziwiają. A Noelle nie wydziwia. Jest dorosła, dojrzała, odpowiedzialna. Wie, co robić i robi to.

Lato chyli się ku końcowi. Nastroje Noelle także. Jest matką, jest żoną. Opiekunką psa, kota, królika i rybek. Ale nie potrafi wyjść z cienia. Dzień wlecze się za dniem, żaden nie przynosi niczego nowego. Młoda, ładna, zgrabna kobieta, dziewczyna jeszcze. Taki przystojny mąż. Takie piękne, mądre dziecko. Szczęśliwy dom, pełen ciepła, stukotu małych stópek, kocich pazurków, psiego języka. A Noelle w cieniu śledzi biernie dzień za dniem, przestając się uśmiechać. Wreszcie, późną jesienią idzie do pracy. Nosi granatową koszulkę z wyhaftowaną nazwą firmy. Ładnie jej w granacie, pasuje do rudych włosów. Noelle jeździ do pracy rowerem. Jest tam z reguły sześć godzin, rzadko dwanaście. Zajmuje się wydawaniem posiłków w uczelnianej stołówce. Na innej uczelni niż ta, którą skończyła. A więc teraz jest matką, żoną i – jak głosi umowa o pracę – bufetową. Ma mieszkanie, męża, dziecko, pracę. Mają samochód i zwierzęta. Wszystko dobrze się układa.

Kolejnego lata historia się powtarza. Noelle nie ma pracy, nie chciała jej dłużej mieć. Dziecko chodzi do przedszkola. Mąż chodzi do pracy. Rozwija się, ma własną firmę, uczy się języka, szkoli ludzi, ma już dwa samochody i dużo fajnych, nowych ubrań. Nie markowych. Takich w jej stylu – luźnych, kolorowych. Ale ona coraz mniej jest jego żoną. I coraz mniej jest. A parę miesięcy później, poza byciem matką i żoną, córką, opiekunką, koleżanką, zostaje też rejestratorką stomatologiczną. Pracuje znów sześć godzin, a czasem, w nocy, dwanaście.

I zaczyna dostrzegać, że coś jest nie tak. Nie chce dłużej żyć w cieniu. Szuka, sama albo inspirowana innymi. Zająć, rozwiązań, wyjścia z sytuacji. Interesuje się ziołami i tańcem orientalnym. Zmienia podejście do życia, do siebie. Nawet idzie do psychologa. Z miłą panią terapeutką widują się co dwa tygodnie, piją razem herbatę i Noelle musi opowiadać o sobie, czego bardzo nie lubi robić. Bo co też ciekawego mogłaby o sobie powiedzieć. Przez dziesięć lat dorosłego życia nic nie zrobiła poza skrupulatnym odgrywaniem ról, jakie na siebie przyjęła. Ci, którzy znali ją lepiej, wiedzieli, że wszystko to jest tylko scenografią. Ale zdołała ukryć to przed mężem, córką, rodzicami. Nawet przed sobą samą.

Kolejnej zimy coś pęka. Noelle przestaje sobie radzić, teatr jej codzienności wystawia coraz bardziej marne spektakle. Zaczyna się nad wyraz przejmować rzeczami błahymi i zdaje się zupełnie nie przejmować tymi najważniejszymi. Przed wszystkim sobą. Najchętniej przebywa teraz sama. Snuje się po mieszkaniu, wśród zwierząt, pomiędzy zabawkami córeczki, skarpetkami męża. Parzy kolejną herbatę i kolejny raz płacze. Jest bezsilna, bezradna. Jej życie zdaje się być mydlaną bańką, która w każdej chwili może prysnąć. I Noelle chce, żeby prysła. I nie chce, bo wtedy upadnie i będzie musiała zacząć wszystko od nowa. A może raczej będzie musiała zacząć żyć, pierwszy raz.

Z odsieczą przybywa kolega ze studiów. Od jakiegoś czasu spotykają się, w większym gronie, czasem do siebie dzwonią, rozmawiają. Bardzo się lubią. On ma głęboką depresję, nikogo już nie dziwi jego samobójcze myśli. Kocha zwierzęta, hipisowską muzykę, ma długie włosy i dużo długów. Jest zabawny, inteligentny i ma niebieskie, smutne oczy, które podnosi na Noelle. A ona patrzy na niego, swoimi, zielonymi i też smutnymi. Zatapiają się w sobie ich oczy, ich ciała, ich długie włosy. Po wszystkim w Noelle wybucha życie niczym w kiełkującej roślinie. Jej oczy zyskują blask, ciało sprężystość, a serce miejsce dla kogoś ważnego. Noelle się zakochuje, pierwszy raz w życiu.

Ale Noelle ma męża. A z mężem dziecko. Miota się więc przez jakiś czas, aż wreszcie mąż wie, że wszystko skończone. Długie godziny desperackich rozmów nic nie dają. Noelle jest niewzruszona, zimna jak lód, daleka wyspa, już nie da się dopłynąć do jej brzegu, nigdy więcej. Mąż zostawia ich mieszkanie, zostawia jej psa, kota i pralkę. I dziecko. Coraz częściej odwiedza ją smutny hipis, coraz bardziej się chcą, coraz bardziej rozumieją. Noelle poświęca mu każdą chwilę, każdą myśl, każdą noc. Nie wszyscy wokół wiedzą, co się dzieje.

Mijają tygodnie. Mąż, jeszcze-mąż Noelle, ma złamane serce. Dręczy ją, mami obietnicami, że będzie lepiej, jeśli tylko spróbują raz jeszcze. Ale ona nie chce, zimna jak lód. Rodzice, matka, gotująca niedzielne obiady, ojciec pomagający przy remontach, są zdziwieni, w zasadzie obrażeni. Jak ona mogła zrobić coś takiego. Sobie, jemu, dziecku. Im. Całe wyobrażenie, całe poukładane życie, mieszkanie, mąż, dziecko, praca, rodzina, samochody, zwierzęta, wszystko już na nic, już znowu jest nikim. Smutny hipis nadal jest smutny, choć odnalazł bratnią duszę, z którą rozmawia, gotuje, sypia, klepie biedę. A Noelle, początkowo trzymająca stery, czująca wiatr w żaglach, unosi się biernie tuż nad powierzchnią wody. Topi się w morzu swoich łez, z dnia na dzień coraz bardziej ciemnym, spienionym i niespokojnym.

Jest już kolejne lato. Pół roku już Noelle jest prawie eks-żoną, pół roku kochanką smutnego hipisa. Nie chce już tego mieszkania, nie chce pracy i zwierząt. Nie chce widywać rodziców. Nie chce swojego dziecka. Nie chce z nikim kontaktu. Nie chce brać leków, wrócić na terapię, nie chce nic. Nie chce być. I nie chce słuchać o tym, że nie powinna tak siebie przegrywać, tak siebie prowadzić na dno po równi pochyłej, tak się topić. Noelle, zaangażowana już tylko w słodko-gorzki, dekadenski romans ze smutnym hipisem, nie pragnąca niczego więcej.

Noelle, która zakwestionowała całe swoje dorosłe życie, całą dekadę, ponad dekadę. Nie jest już żoną, matką, córką, przyjaciółką, opiekunką. Noelle teraz jest wreszcie sobą. Noelle nie jest jeszcze sobą, teraz jest smutną kochanką smutnego hipisa. Nie wie, kim jest. Zanegowała siebie, neguje siebie permanentnie, bezgranicznie. Swoje dotychczasowe role, swoje talenty, swoje możliwości. Siebie, którą nie zdążyła się stać, której nie zdołała i nie chce już odkryć. Której nie jest ciekawa i w którą nie wierzy.

Człowiek zmienia się co siedem lat. Zmieniły się tkanki i komórki Noelle. Jej włosy, paznokcie, ubrania, narządy. Jej serce, skute lodem, gorejące teraz ze smutnej miłości. Jej mózg, niezdolny do wytwarzania endorfin, serotoniny, tryptofanu. Życie Noelle zmieniało się kilka razy. Gdy odkryła ciężką muzykę, a potem kwieciste suknie, gdy poszła do liceum, a potem na studia. Gdy zamieszkała ze swoim chłopakiem, urodziła dziecko, wzięła ślub. Najbardziej zmieniło się zeszłej zimy, gdy jednym zrzućciem sukienki przekreśliła dotychczasowy stan rzeczy. Sama Noelle nie zmieniła się jednak, choć bardzo tego chciała. Nadal chwytiała się złudzeń i miraży, brała to, co przynosiło jej życie, nie chcąc wyszarpywać zeń niczego więcej. Stała się jeziorem, stojącą, martwą wodą, w której wciąż pływały te same ryby, nad którą rosły te same trzciny, tańczące w rytm wiatru.